

EWA
LENARCZYK

PRZEKLINAM

TO

MIASTO

TOM I



Wersja demonstracyjna

Ewa Lenarczyk
„Przeklinam to miasto”
Tom I

Copyright © by Ewa Lenarczyk, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Korekta:
Robert Olejnik,
Marianna Umerle

Projekt graficzny i skład:
„Dobry Duszek”

Projekt okładki:
Adam Brychcy

ISBN: 978-83-8119-902-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Wielkie podziękowanie mojej
niesamowicie operatywnej agentce nieruchomości,
Pani Justynie Kończal,
właścicielce Biura Nieruchomości „Magnet”,
za cudowną zmianę i przyspieszenie mojego życia.*

ROZDZIAŁ 1.

Zaciśnięte pięści zrobiły się całkiem blade, nie tyle z zimna, co napięcia. Pod powiekami równie mocno zaciśniętych ze złości i nienawiści oczu zaczęły pojawiać się jasne kropki, niczym gwiazdki. Każda błyszczała na chwilę i rozchodziła się kręgiem w nicość. Dusza mimo wszystko nie błyszczała, tylko dalej popadała w czarną otchłań. Czarną jak nocne niebo nad miastem.

Kordula stała na samym skraju stromego, śliskiego nabrzeża. Ostry, jesienny wiatr szastał jej rozpuszczonymi włosami. Szastał jej duszą, jej ciałem, jej uczuciami, które każdy deptał, bo rodowe zasady były ważniejsze niż radość, niż zdrowie, niż miłość. „Miłość, co to jest miłość? Przekleństwo”. Podniosła ręce wysoko nad głowę, ale nie poluźniła piąstek. Otworzyła oczy i ostro pokręciła głowę na boki, jeszcze mocniej szastając włosami, niby na przekór wiatrowi.

– Nienawidzę, nienawidzę was wszystkich – szepnęła niskim, gardłowym, charczącym głosem.

Raptem wystraszona odruchowo obejrzała się za siebie, bo usłyszała za plecami nieznany szelest. Wbiła wzrok w ciemność, ale nikogo nie wypatrzyła, więc ponownie zwróciła się w stronę wody. Pochyliła głowę, a za moment energicznie podniosła ręce z ciągle zaciśniętymi piąstkami.

– Przeklinam to miasto! Przeklinam ojców moich! Przeklinam starca tego! Przeklinam... – Chciała jeszcze coś dopowiedzieć, ale szarpnięta wiatrem zachwiała się. Noga w skórzanym

pantofelku ześliznęła się i cała sylwetka, tracąc równowagę, zachwiała się, kierując ciało w stronę wody. Gwałtownie rozłożyła ręce szeroko na boki, jak skrzydła ptaka, i poddała się powiewowi. Na moment w wyobraźni zobaczyła twarz ukochanego Piotra, która ociekała krwią. „Idę do ciebie, kochany” – szepnęła w myślach i zamknęła oczy, czekając na zderzenie z zimną wodą rzeki.

Niespodziewane szarpnięcie za kaptur wierzchniego okrycia zatrzymało ją w powietrzu i uchroniło przed upadkiem do wody, ale obie nogi mimo wszystko ześliznęły się już z omszałej belki chroniącej nabrzeże. Usłyszała trzeszczący odgłos prującej się odzieży i wystraszona sytuacją gwałtownie podniosła ręce do góry, szukając czegoś, co ją zatrzymało przed tak haniebnym czynem. Przed upadkiem, przed błogim spokojem zaświatów i szumiącymi wodami rzeki. Chciała pożegnać się z życiem, chciała zniknąć. Chciała dołączyć do ukochanego Piotra w niebiańskiej krainie, mimo hańby, jakiej miała się właśnie dopuścić. Mimo hańby, jaką ściągnęłaby na głowę i honor dumnej rodziny Paulsonów.

– Puść mnie, Boże. Uwolnij mnie, Boże miłosierny, od tych męk, od łez, bo już rzekę ich wylałam z udreki.

Zacisnęła oczy, ale szeptała i machała bezwiednie nogami. Ręce też opuściła i całkiem bezwładna dała się wyciągnąć do góry. Jej ciało kilkakrotnie zderzyło się biodrem i kolanem o coś twardego, ale była całkiem zobojętniała. Kiedy poczuła pod kolanami chłodną, rozmokniętą, miękką ziemię, nawet nie otworzyła oczu. Wyobraziła sobie, że właśnie wody rozniewanej rzeki oblewają i piezczą swoimi falami jej ciało, gdy nagle czyjeś ostre słowa wyrwały ją z nicości i przywróciły do bolesnego świata.

– Mościa panno, co robisz? Życie ci obrzydło?

Nawet głowy nie podniosła na wybawcę, tylko klęcząc, przysiadła na piętach. Skuliła się w sobie, uderzając głową w ziemię.

– Przeklinam to miasto. Przeklinam ojców moich. Przeklinam ręce twoje, że mnie zatrzymały w świecie żywych – szepnęła, ale na tyle głośno, że wybawca musiał ją usłyszeć. W tejże chwili poczuła na swoich ramionach jakiś stalowy uścisk, który ją pociągnął do góry.

– Błuznisz, mościa panno. Może masz ku temu powód wielki, ale póki żyw jestem, nie dam cię falom i Neptunowi w objęcia. Nie dam cię, choćbym miał do nogi jak psiaka przywiązać, albo w dyby zakuć i w piwnicy trzymać wieki – męski głos wrzeszczał na nią, przekrzykując wycie wiatru wzmagającego się coraz bardziej.

Kordula podniosła głowę i pomiędzy szastającymi kosmykami splątanych włosów usiłowała wypatrzyć postać, mocno ją ściskającą za ramiona. Ciemność i przerażenie w oczach jednak zakrywało osobę, ale kiedy jeszcze wyżej podniosła oczy, zobaczyła owalny kontur dużej głowy osadzonej na szerokim karku.

– Nic ci do tego! – wrzasnęła i szarpnęła się. – Puszczaj! Wiesz, kim jestem? Jak śmiesz mnie, mnie... – zająknęła się i pokornie spuściła głowę.

– Po szacie mości panną cię tytułuję, ale po głupocie z plebem równać się powinnaś.

– Nic ci do tego!

– Bóg życie szanować nakazuje ponad wszelkie sprawy. Ponad dukaty brzęczące, tytuły szlacheckie, ponad honor, chyba że w boju za ojczyznę oddane. Wtedy chwałę Boską i pamięć

oddawać musimy. Twój honor chyba ojczyźnie nie posłużył – roześmiał się gromko.

– Nic ci do tego! – wrzasnęła i ponownie szarpać się zaczęła, aż rękaw jęknął na szwie gdzieś z tyłu sukni. Wtedy mężczyzna mocno ją do siebie przyciągnął i do piersi przycisnął.

– Puszczaj mnie, ty, ty zbój! Myślisz, że jak ciało swoje wodzie dać chciałam, przyzwolenie dostałeś i gwałtem brać mnie będziesz?!

– Wolałbym kozę w komórcie dymać dnia każdego po dzień śmierci, niż twój honor zbrukany na swoje sumienie brać.

– Mój honor, moja sprawa. Trzeba mnie było wodzie oddać. Zbawca się znalazł jakowys.

– Zbawcą nie jestem, ale sumienia szargać swego nie będę. Bóg mi drogę akuratańską naznaczył, więc nie woda przeznaczeniem twoim. Kobieta w domu mi potrzebna przy dzieciach, więc dług za życie spłacisz, grzech u Boga odpokutujesz. Serce swoje z ran miłosnych uleczysz i do rozumu dojdiesz, to na świat wypuszczę, a teraz nie szarp się. Do domu idziemy.

Zdjął jedną rękę z ramienia Korduli i za dłoń mocno chwycił. Drugą za poły płaszcza ujął i zakręcił ciasno wkoło wąskiej talii.

– Opatul się ciepło, bo zdrowa przy dzieciach być musisz.

– Ty, zbój, ja Kordula jestem z domu mincerza Johanna Paulsona. Patrycjusza córka.

– Byłaś, póki wodzie nie chciałaś się oddać. Teraz u mnie życie odrobisz w podzięce.

– Nigdzie nie pójdę! – zaczęła się szarpać i krzyczeć wniebogłosy, ale mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Ruszył przodem w kompletnej ciemności, ale widać było, że dokładnie zna drogę wzdłuż nabrzeża. Ciągnął Kordulę za rękę trochę za

sobą, czasem też podepchnął do przodu. Na chwilę się zatrzymał, odwrócił do dziewczyny i pogroził palcem wolnej ręki.

– Nie drzyj buzi po próżnicy, bo zimnego się nałykasz, a tu nikt z ratunkiem nie przyjdzie. Chyba że jakiego zbója na nas ściągniesz. Kto wtedy twe honory szanować będzie, jak mnie po łbie dadzo?

– Ty zbój jesteś.

– Ja, Kacper, partacz jantarski jestem z drugiej strony miasta. Mówilem, że życie odrobisz przy dzieciach moich.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, ciągnąc Kordulę bardzo ostro. Doszedłszy do ostatniej kamienicy przed bramą, przystanął, dociągnął dziewczynę do siebie i krzyknął nad jej głową.

– Uważaj, stopnie śliskie, a do łódki zejść musimy i w łódce się nie kolebocz. Woda zimna – machnął ręką. – Zimna, nie zimna i tak chciałaś skakać, ale ja palca nie zamoczę, rozumiesz?

Kiwnęła głową i bliżej podsunęła się do wielkiego mężczyzny. Puścił teraz jej dłoń i tylko rękaw trzymał, więc ona wystraszona złapała go za kubrak. Po omacku kroki stawiała i powietrze wstrzymywała ze strachu. Na łódce zdała sobie sprawę, że w nieznane jedzie, bo miasto po drugiej stronie rzeki bardziej handlowe, jarmarczne i rzemieślnicze było ze spichrzami, kramami i warsztatami. Tam częściej statki wielkie ze świata stawały albo barki szerokie z kraju zbożem po brzegi załadowane wpływały. Z ich strony raczej cumowały piękne żaglowe szkunery, brygi albo dostojne fregaty czy szkunery. Teraz więcej stało wojennych fregat szwedzkich i potężnych galeonów, którymi znienawidzeni grabieżcy wywozili co mogli.

Właśnie minęli taki kolos, który nawet księżyc przysłaniał i fale na rzece hamował. Łódką więc bujnęło i Kordula pięści mocniej ścisnęła ze strachu. Teraz chociaż bezpieczna była,

mimo wszystko wody się bała, ale w rzece wcześniej szukała ukojenia. Na samą myśl czynu haniebnego, jakiemu chciała ciało swoje poświęcić i duszę zbrukać, honor rodziny zmitrężyć, podwójny lęk ją zimnem przeszywał, więc się skuliła, peleryną zawinęła ciaśniej do ciała, a kaptur naciągnęła głęboko, że jej nawet nosa nie było widać.

Ktoś z galeona krzyknął dziwne słowa, rozbłysły pochodnie i słychać było wzmożony tupot marynarzy po drewnianym pokładzie. Kacper odpowiedział po swojemu i mocniej wodę wiosłami zamieszał, a łódka pomknęła, zostawiając ciemny brzeg jej miasta Elbinga. Nie oglądała się za siebie, ale i do przodu spojrzeć nie chciała. Skulona, cała drżąca, czekała, aż łódka stuknie o drewniane nabrzeże i wtedy dopiero głowę lekko podniosła. „Godnym jeńcem będę w partaczowej rodzinie i okup od tatki zażądają na pewno. Czy pohańbioną mnie zrobi?” – popatrzyła na ciemną, zwalistą postać jej wybawcy lub ciemniźyciela i tylko westchnęła, bo wszystko jej dziwnie obojętne się stało. Na brzegu raz się odwróciła i na swoją stronę miasta spojrzała. Na wieżę kościoła, za którą jej dom ojcowski z wiekową mennicą wtopiony był w sąsiednie kamienice. Wąski, wzniosły i piękny był, chociaż domy na Świętego Ducha bogatych przedproży nie miały, jak przed innymi kupieckimi kamienicami w mieście, bo ani oni, ani sąsiedzi nie handlowali.

Dostojny ojczulek Johann Paulson od kilku lat piastował nader ważne stanowisko w kraju, a sąsiedzi też na zacnych posadach jako patrycjusze role swoje mieli. Matka Laukrecja z domu francuskiego zawsze strojną panią była i prekursorką mody w mieście, więc i mąż, i Kordula zawsze w szaty przedniejsze niż wszyscy odziani chodzili. Od ponad roku matki nie było już na świecie, a ojca nękali i swatali z różnymi damami.

Wdowy mu ślali, panny z zacnych domów nie tylko z Elbinga, ale także szlacheckie córki z okolicznych dworów i panny z bogatego Gdańska. On jednak przyrzekł nad trumną małżonki, że zanim Korduli nie odda mężowi zacnemu i stosownie uposażonemu, który na suknie niewieście nie będzie żałował, żadnej macochy pod dach nie wpuści. Ślano zatem swaty do obu person z rodu, z tą różnicą, że Korduli nikt o zdanie pytać nie zamierzał. W obu wypadkach liczyły się tytuły i stanowiska, chociaż te nie zawsze szły w parze z ogładą albo zasobnością kasy. Panny ojcu przedstawiane jeszcze wygląd miały mieć oględny, ale co do kawalerów dla Korduli nikt w tym względzie słowa nie powiedział, poza jej starą nianią i najbliższą powiernicą serca. Jej zdania z początku ojciec słuchał, ale kiedy brzęczące szelągi, orty i dukaty zadzwoniły w sporym mieszkaniu ojciec oko przymknął. Zgodę dał na ślub, bo do kolekcji rodowych tytułów jeszcze szlachectwa tylko brakowało. Jaromir, szlachcic polskiej ziemi spod Malborka, gruby z wielkim brzuchem od piwa rozdętym. Stary, ale jak mawiają jary, upatrzył sobie bogatą i młodą Kordulę jako trzecią żonę i rodowi zamierzał ją przysposobić.

Łzy się lały całymi dniami, bo jej serce od dawna przy Piotrze, czeladniku z mennicy szybciej biło. Niania strofowała, ciągle tłumaczyła, że on nie dla niej i nie dla niego taka mościa panna, że zgody nikt nie da na miłość różnych stanów. Kiedy sprawa na jaw wyszła, Piotra precz wysłano i to bez papierów, grożąc jeszcze sądem za kiepską robotę.

Żeby spokój w domu ciszą bez lamentów zagościł, zamknęli Kordulę w najdalszej izbie na samym poddaszu i tam dni kilka kruszała o chlebie i wodzie w samej lnianej, drapiącej koszuli. Miała biedy zakosztować i pokornie czoło przed ojcem

pochylić. Bez łez imć pana Jaromira przyjąć i wyprawę szykować, by na gody przed ołtarzem stanąć.

Po wyjściu z karceru udała pokorną, układną, ale łez i smutku zatuszować się nie dało, więc po kątach siorbała nosem, ale też plany w głowie układała, bo raz list potajemny od Piotra dostała. Chociaż miał miasto opuścić, błąkał się wkoło i raz z kupcami między workami na wozie przez bramę przejechał. Zaczaił się na szczycie ciągu kamienic i kiedy szła do kościoła na mszę wieczorną, niby przypadkiem jako przechodzień otarł się o nią. List wręczając malutki na skrawku starej faktury menniczej wykaligrafowany. Niespodziewanie też pocałował Kordulę przy niani. Raban się zrobił, strażę wezwano, Piotra złapali jeszcze tego wieczoru, a biedna Kordula znów na poddaśże trafiła.

Tym razem nawet niania w jej obronie już nie stanęła i z pokornej służki w żandarma zmieniona, ojca zdanie forowała i na każdym kroku pilnowała. Na każdym poza dzisiejszym wieczorem, bo zimnica ją wzięła i do łóżka niania zaległa. Ojciec zajęcie w mennicy miał ważne z posłańcem od króla polskiego. Służki po swoich pokojach w suterynie się już na noc pochowały, więc ona najpierw zeszła na parter do sieni, ojcu dobrej nocy życzyć. Potem do kuchni zajrzała i kufel piwa wypiła, chleba z okrasą zjadła, bo kolacji nikt wystawnej tego dnia nie robił i na pomysł szatański wpadła. Gnana jakąś siłą nieczystą, w sieni złapała ojcową, wielką, czarną pelerynę, butki wsunęła w drewniane ochraniacze, żeby błotem nie zaszargać zdobnej materii i wybiegła jak szalona przed siebie.

Najpierw pod okna więzienia pobiegła. Postąła tam chwilę, szukając w małych okienkach twarzy znajomej, potem do kościoła swojego Trzem Królom błogosławionego, ale o tej

porze wszystkie wrota zamknięte być już musiały, więc się tylko krzyżem przeżegnała i dalej pognała. Wiatr jej peleryną szastał, nogi plątał, jakby Bóg powstrzymywał, ale diabeł i tak szeptał za uchem i drogę naznaczał w kierunku wody w rzece głębokiej.

Teraz po wyjściu na brzeg po drugiej stronie miasta, jakby po drugiej stronie życia swojego, nie wiedziała, czy smucić się ma, czy Bogu dziękować, czy serce radować. Pustka ją ogarnęła i beznadzieja, więc skulona, zgięta prawie w pół dała się prowadzić trzymana za połę peleryny. Minęli nabrzeże, dwa wielkie spichrze i weszli w głąb miasta, a tam wiatr już nie szalał. Wyprostowała się i popatrzyła na czarne, osnute nocą ściany mijanych budynków. Strach ją obleciał, więc szła wolniej, ostrożnie nogi stawiając.

– Tu będziesz mieszkała. – Zatrzymali się i Kacper pchnął ją na ciemną ścianę. Nie знаła miejsca, nie wiedziała, gdzie drzwi, więc uderzyła nosem w ścianę i jęknęła. Kacper podszedł, odsunął ją i po omacku znalazł zapadkę służącą za klamkę. Nikłe światło wyznaczyło małe, niskie wejście do nieznanego jej pomieszczenia. Uchwyciła za suknę, podniosła wysoko i weszła do izby, niskiej ale przestronnej. Nikogo nie było, nikt jej nie witał jak w domu, a wszędzie panował półmrok. Gdzieś zza ściany dobiegały ją piskliwe głosy, więc stanęła i przyglądała się pomieszczeniu. Dwa stoły zastawione nieznanymi jej przedmiotami, kuchnia jak u nich w kamienicy, ale mała i szara z okapem. Kilka beczek i wszędzie pod ścianą kufry stały mniejsze, większe oraz łóżko wybitnie duże z pierzyną. Podeszła i usiadła na skraju, ale Kacper zaraz ją pognał.

– Łóżko jest moje – wskazał drewniane, niskie drzwi. – Tam śpisz z bachorami.

Kordula podniosła się gwałtownie i ruszyła do wskazanych drzwi. Wolno je otworzyła i weszła do wnętrza niewielkiej izdebki z małym okienkiem, przez które wpadało księżycowe, blade światło. Zobaczyła w nim drewniane łóżko z wielką kopką słomy, która się ruszała. Po zamknięciu drzwi wychyliły się z niej jakieś dwie ciemne plamy z białymi świecącymi oczkami. Za moment dołączyła do nich podobna zjawą, ale ta miała jasną otoczkę kędzierzawych loków. Kordula odskoczyła od łóżka, a te ciemne plamy wypęzły na klepisko i objęły jej nogi niewidocznymi mackami, wpełzając niczym złe duchy coraz wyżej. Wrzasnęła przerażona i zaraz wszedł Kacper. Był na bosaka w jasnej długiej za kolana koszuli. Rozejrzał się i tubalnie zarechotał.

– Bachory już cię polubiły – policzył ciemne plamy głów na jej sukni i zapętał. – Gdzie Bruno?

Słoma na łóżku się poruszyła, dzieciaki się roześmiały i Kacper wrócił do swojej izby, a Kordula dalej stała oblepiona trójką małych brzdąców. Ręce trzymała splecione przed sobą i bała się któregoś dotknąć, bo wydawało jej się, że cuchną niemiłosiernie. Maluchy w końcu się znudziły przymilaniem i powędrowały zanurzyć się w słonie, a ona dalej stała i stała. Zmęczona po omacku cofnęła się pod ścianę i przykucnęła, ale nogi jej ścierpły, a gorset wbijał się coraz w inne miejsce brzucha i pośladków. Na chwilę usiadła na zimnej polepie, ale dreszcze ją przeszły, więc znów wstała i wreszcie usiadła na brzegu łóżka. Nawet nie wiedziała, kiedy sen ją zmorzył, kiedy się przechyliła i jak dzieci wkopała pod słomę.

ROZDZIAŁ 2.

Obudziło ją szarpnięcie, więc otworzyła oczy i popatrzyła, nie widząc nic, bo jeszcze słońce nie wstało, a wczorajszy księżyc gdzieś schował swoją nikłą, siną poświatę. Całkowita ciemność nie pozwalała jej wypatrzeć czegokolwiek, jedynie przyciszony głos Kacpra przywrócił jej pamięć wczorajszego dnia. Z trudem usiadła, poprawiła gorset, który wbił się jej gdzieś pod pachę z jednej strony a w brzuch z drugiej na dole.

– Wstawaj, do roboty trzeba się brać – usłyszała i zastanowiła się. „Niby co za robota po ciemnicy?”.

Mimo wszystko wstała i ostrożnie, nisko się pochylając, wyszła do pierwszej izby. Tam dwie świece rozświetlały trochę miejsca, odganiając mrok przy jednym stole i przy kuchni.

– Kaszy trza uwarzyć. Szczapek naszczypałem, więc ogień na kuchni zrób. Ja sadła przyniosę na omastę.

Kordula patrzyła zdziwiona na Kacpra, na kuchnię, na szczapki i garnek miedziany postawiony na trójnogu. Widziała czasami, jak u nich kucharka ogień pod garnkiem niczym małe ognisko paliła, jak dokładała drewek, mieszała w garnku, ale żeby ona miała coś takiego zrobić. Nikt by jej nawet nie pozwolił palcem tknąć, a rozpalać, ręce brudzić i suknie plamić było niewyobrażalne. Nie miała więc pojęcia, co zrobić, ale stanęła przed kuchnią i w garnek zajrzała. Wyjęła nawet drewnianą chochlę, ale koronkowym rękawem zaczęła o coś i garnek spadł, robiąc sporo hałasu.

– Czy ty kiedy w kuchni była? – zapytał Kacper.

– Byłam, ukradkiem, bo zabronione miałam.

– Żaden z ciebie pożytek będzie, tylko gęba do wykarmienia – coś jeszcze pomamrotał, otworzył wejściowe wrota i wyszedł z izby tylko jedną nogą, nisko się kłaniając żeby o powagę czoła nie rozbić. Wrzasnął na całe gardło.

– Bożyna! – I wrócił do izby, zamykając wrota, bo zimny wiatr przygnał słotną jesień do wnętrza, aż po grzbiecie ział przeleciał. Usiadł za stołem i zajął się jakąś dziwną, nieznaną Korduli robotą. Brał w ręce szarozółte kamyki, gładził je z różnych stron dużym kamieniem, oglądał pod światło i znów gładził.

Raptem wrota się otworzyły i do izby wtoczyła się krągła kobieta z wielkim biustem wystającym przed nią na dobre kilka centymetrów. Rozkudłana niczym wiedźma sroga z dziecięcych bajek. W szarej spódnicy gdzieniegdzie oberwanej u dołu, szarej, ale jasnej koszuli i burym, grubym kubraku wełnianym.

– Czego znowu? Gadałeś, że dziewczkę masz, to czego ja i na co? Spać nie dajesz.

Popatrzyła na stojącą przy kuchni Kordulę, odchrząknęła i splunęła na podłogę.

– Skądś to wytrzasnął, przeca to ani chybi królewska córka, abo jejmościanka jakowaś, a nie dziewczka do służenia?

– Po ciemnicy jam nie widział. Złapał ja, co się nadarzyło, ale chyba rację masz, tylko kłopot bedziem mieli.

– Sprzedaj Szwedom, albo okup żądaj.

„Szwedom?” – Kordula wystraszona popatrzyła na kobietę, a potem na Kacpra.

– Ciekawe, kto więcej da? – zastanowił się głośno Kacper.

– Patrzaj jeno, za jej suknię można chałupę nową postawić – podeszła, pomacała i szczerząc przerzedzone zęby, roześmiała się Korduli w twarz. – Taka bisiorowa, jedwabna kieca

pewnikiem ze Paryża przywieźli panience, a ty jej każesz do kuchni w ni stawać.

Wyszła z izby, ale zaraz wróciła z naręczem szmat starych. Rzuciła wszystko przed Kordulą na ziemię i wrzasnęła na nią.

– Rozdziewaj się i zakładaj, bo szkoda tych dzierganych koronek!

Kordula pokręciła głową, ale Bożyna złapała ją za rękaw i zaczęła tarmosić. Dziewczyna odsunęła się pod ścianę i objęła się dłońmi, blokując dostęp do swojej garderoby. Kobieta jednak nie dała za wygraną i Kordula musiała się rozebrać na oczach mężczyzny. Najpierw zdjęła tylko spódnicę, ale Bożyna, szarpiąc ją, odwróciła i rozsypała kaftan. Potem jeszcze rozpięła haftki z gorsetu i Kordula została w samej bieliźnie, jedwabnej także haftowanej białą srebrną nitką. Bożyna pomaçała jej pantalony, pogłaskała koszulkę i krzyknęła.

– Rozdziewaj wszystko!

Trzasnęła ją po twarzy, złapała za włosy i pociągnęła do ziemi. Zanim Kordula zdążyła zaoponować, dosłownie zdarła z niej pozostałe odzienie. Kopnęła nogą przyniesione szmaty w jej stronę, a piękną suknię przewiesiła sobie przez ramię i głaskała.

– Zaniose do praczki, już ta będzie wiedzieć, gdzie sprzedać i komu, a jo tako w tych szmatach możesz wystawić Szwedom na pokaz. Może się który skusi – popatrzyła na Kordulę w lniałej koszul i machnęła ręką lekceważąco. – Chociaż bez jedwabów za wiele nie dostaniesz.

Zdjęła bieliznę z ramienia i położyła Kacprowi na stole obok kupki jantarowych bryłek.

– Bożyna, miej baczenie, robote mi mieszasz. Kuchnie rozpal, kaszy uwarz, bo głodnym wielce. Kiecke do kuфра schowaj,

bo panienka bez stosownej oprawy niewiele warta jak te moje jantarowe kamyki.

Gruba kobieta najpierw jednak kieckę do siebie przyłożyła i piruet na środku izby zrobiła. Podeszła do Kacpra i wyszczerzyła swoje próchniaki.

– Co bym taka strojna była, oczu ty by ode mnie nie chował.

– Najpierwej trza by cie było obciosać po bokach i z balonów powietrza pospuszczać – zarechotał, a potem pogonił do pracy. – Pokaż nieudacznej pannie, jak ogień rozpalic i miasta z dymem nie puścić. Kaszy hetko uwarzyć trza, bo bachory zaraz będą dzioby darły niczym kuraki.

Ledwie skończył mówić, drzwi się otworzyły i biała głowa wyłoniła się z ciemnej szpary odrzwi, a za nią całe stado wydreptało przez wysoki próg. Najmłodszy ledwie wyszedł na pół kuchni, stanął w miejscu, spiął się w sobie i napaskudził na polepę.

– No jasna cholera z bachorami – wrzasnął Kacper, więc blondasek Jahimek podbiegł do skrzyni przy wrotach, złapał dwie garstki białego piasku i przysypał kupkę. Po wierzchu przytupał bosą stopą, a ponieważ nie cała była przykryta rozniósł fekalia po podłodze. Kordula nos skrzywiła, a Bożyna trzasnęła dzieciaka po głowie. Potem go złapała w pół i na dwór dosłownie wyrzuciła. Wiatr zimny wpadł do izby, więc Kacper znów krzyknął.

– Zawiesy trzeba na wrotach przymocować, bo zamróz nas wszystkich połapie. W kufrach szukaj, bo stare jeszcze zadane pewno.

Dzieciaki grzecznie w kącie usiadły, a Jahimek sam szybko przyszedł i najpierw pokazała nogi dalej brudne, chociaż wytarte o trawy i nie cuchnące. Przy ojcu się usadowił na zydłu

i zaczął przebierać jantarrowe kamienie. Czyste podsuwał bliżej ojca, mniejsze zgarniał do koszyka przy stole, a niektóre lizał i potem pluł na boki piaskiem.

Bożyna suknię Korduli schowała do kufra paradnego z sukmaną świteczką Kacpra, a z innego szmaciane zasłony wyjęła i położyła na kufrze, żeby na widoku były. Potem rozpałała małe ognisko na kuchni pod miedzianym garnkiem. Szczapki na krzyż ułożone mocno suche były, więc szybko ogień buchnął. Nakładła najpierw do garnka kopyść sadła z kamiennego gara, nalała wody, a potem dwie czubate kwarty suchej kaszy wsypała.

– Klucz daj do komory – podeszła do Kacpra i rękę wyciągnęła.

– A ty czego tam będziesz szukała? Sadło przyniosłem.

– Soli przecie trza, bo w pysku będzie rosło bez smaku.

Kacper klucza jej nie dał, sam wstał i przyniósł na dłoni kilka szczypt białego skarbu, co prawie cenę złota osiągało, ale przecież bez soli każde jadlo smaku nie miało. Sam wsypał do garnka i nawet dłonie otrzepał, żeby żadne ździebko się nie zmarnowało. Kordula nic nie mówiła, tylko miejsce zmieniała, ustępując drogi każdemu, a w końcu nogi ją boleć zaczęły, więc przy dzieciach w kącie przykucnęła. Mały Bruno chciał się jej na kolana od razu wgramolić, ale odepchnęła go, bo tyłek niemyty ani niepodtarty śmierdział okrutnie.

– O, widziała, panienka, bachor zawsze śmierdzi – roześmiała się Bożyna. – Niech się weźmie za robote. Wode przyniesie i dupe bajtłowi umyje. Nikt tu nieroba karmić nie będzie.

– Zostaw pannę, bo jak jo rozebrała, to jeszcze chłód jo załapie. Sama przyniesie i umyj, a ty panno siadaj i zapewne liczyć jesteś nauczona?

Potaknęła głową i podeszła bliżej.

– Pisać tyż umiesz?

Znów potaknęła, więc Kacper Jahimka pogonił ze zydła, Kordule posadził, przyniósł księgę wielką, otworzył gdzie trzeba. Pióro gęsie z inkaustem postawił przed nią i palcem popukał.

– Rachmistrzowi płacić musiałem dukata za miesiąc, więc teraz ty będziesz wpisy robić. Liczyć trzeba i po setce do worczków jednakie wkładać. – Pokazał różne wielkości jantarrowych kamyków. – Co setkę trzeba w księgę wpis zrobić, zawiązać worczek i do kufra wsadzić. Co dziesięć setek kreskę grubą namalować i słupek policzyć.

– Wiesz, ile to setka? – Kordula ciekawa zadała pytanie.

– Dziesięć razy tyle co moje palce, ale ja sie wiela myle. Wiele razy licze, a jak bachory latajo, to i jantary spadajo, i rachować nawet nie ma po co.

Kordula tylko się uśmiechnęła do Kacpra, ale też popatrzyła na Bożyne i jej język wystawiła.

– Ty, ty miarkuj se, bo rachować se jaśnie panienka nie zdąży. – Pogroziła jej pięścią, ale Kacper zobaczył i na Bożynę krzyknął.

– Kaszy pilnuj, mieszaj, bo do tego się jeno nadasz. Dukata ty by w życiu nie widziała, jak by u mnie nie robiła, więc szacunek dla izby mej i rachmistrza zachowaj.

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i zajęła pracą, a Kordula według zaleceń i pod nadzorem Kacpra partacza liczyła jantarrowe kamyki, składała na kupki. Potem pakowała i wpisywała. Kiedy jej się sikać zachciało, zapytała cicho, gdzie mają wychodek, a potem naciągnęła stary kozuch Kacpra, co na wrotach wisiał, wsunęła na bosc stopy tylko swoje ochraniacze i podreptała za chałupę. Wracając stanęła przed wejściem i miastu

z tej strony się swobodnie przyjrzała. Od siebie widziała tylko przednią ścianę od wody samej, gdzie murowany spichlerz przy spichlerzu stał, a dalej za nimi mało kto z możliwych co wiedział. Ludzie dziwne, często straszne wieści pletli. Jedni, że tam bezboże wielkie, bo nawet kościoła tu nie mieli, inni, że strach tam mieszkać, bo pożary co chwilę dobytek cały niszczą, więc nikt domów solidnych nie stawia. Jeszcze inni mawiali, że tam najgorsza miejska hołota mieszka łącznie z przemysłnikami, partaczami i szwedzkimi żołdakami, chociaż ich galery od drugiej strony zawsze stawały przy nabrzeżu. Pewnie dlatego, że łatwiej tam z łądu było dowieźć grabione towary.

Teraz Kordula na własne oczy mogła sprawdzić ludzkie opowieści, bo przed sobą miała w równych rzędach domy po części nowe, murowane, wysokie niczym ich kamienica w tamtej części miasta, ale bez bogatych portali i zdobień z łupkami na dachu. Część domów jeszcze stara i uboga była z bali drewnianych i słomą krytych. Ulica między nimi w stronę rzeki wiodła, kamieniem wyłożone była z rynsztokami po obu bokach. Po ulicy mało kto chodził, ale kilku zbrojnych Szwedów na koniu wolnym stępem przeszło. Na Kordulę zerknęli i ręką niski ukłon zrobili, więc wystraszona, pamiętna tego, co Bożyna wcześniej rzekła, dosłownie czmychnęła do chałupy i zaraz do liczenia siadła. Kasza już pachniała, więc bachory ruszyły do niej, spódnicy uczezione wisiały, a mały Bruno znów po nogach robił. Nikt teraz piasku nie sypał, ani tyłka mu nie umył, więc smród w izbie zrobił się nieprzeciętny, a Kordulę aż na wymioty brało. Podniosła się, złapała za malca i wyszła z nim przed chałupę. Tam w beczce pod rynną sporo wody było, więc pomimo zimna zadarła mu koszulę na plecy i polewając wodą chociaż trochę zaschnięty tyłek obmyła. Dzieciak darł się

wniebogłosy od zimnego, wierzgał nogami, że ledwie mogła go utrzymać. Nie umiała sobie z dziećmi radzić, bo w domu od dawna żadnego bobasa nie było. Postawiła go na ziemi, wsadziła jego głowę między swoje kolana i dwoma rękoma dokończyła mycie. Na koniec jeszcze buzię mu mokrą dłonią przetarła i bosego puściła. Chłopiec ze złości chciał ją kopnąć, ale tylko kilka razy nóżką w powietrzu machnął i czym prędzej do chałupy powrócił. Po zydłu wdrapał się na drugi stół, bo tam już kasza w wielkiej misie stała i całymi garściami pakował do buzi. Rozsypywał sporo, ale inne dzieciaki również na stole już siadły. Niczym zgłodniałe wróbelki zaraz wszystko pozbierały i do dzióbeków sobie powkładały. Kacper z Bożyną i Kordulą na zydlach usiedli i drewnianymi łychami na przemian z miski kaszę sięgali. Czasami dzieciaki łapczywie kaszę im z łyżki zabierały, aż Kacper pięścią w stół grzmotnął i na podłogę pozdejmował wszystkie. Kiedy dorośli się najedli, Bożyna miskę na podłodze postawiła i dzieciaki znów dopadły jedzenia. Całymi garściami resztę kaszy zjadły, a na koniec Bruno całą głowę wsadził i lizał wszystko co jeszcze na ściankach zostało. Na zakończenie znów kupę na podłodze usadził i wystraszony uciekł przed myciem do drugiej izby. Zaszył się w słomie i zasnął, więc spokój zapanował. Bożyna mruczała złowrogo, ale najpierw piaskiem podłogę zasypała, a potem miotłą z brzozywych patyków wszystko pozmiatała i na szufli wyniosła brudy całe do rynsztoka. Kacper szmaty na drzwiach zawiesił, żeby wiatru nie wpuszczać, a potem wziął dwa woreczki z jantarem, jakie Kordula już w księgi wpisała i wyszedł na pół dnia z chałupy. Poszła też Bożyna do siebie, dwa malce zasnęły na ławie pod skórą z barana, a Kordula z najstarszym blond aniołkiem dalej układała jantarrowe kamyki. Tym razem Kordula głośno

liczyła każdy kamyczek, a Joachimek powoli za nią powtarzał do pierwszej dziesiątki i od nowa na kolejną kupkę znów dziesięć i dziesięć. Wszystkie podliczyli i Jachimek całą setkę w woreczek spakował, a Kordula znów wpis w księdze zrobiła. Do kuferka pod stołem schowali i już Jachimek więcej nie siadał do stołu. Zmęczony malec powlókł się do drugiej izby i zaszył się z najmłodszym w słomie.

Kordula jeszcze jedną setkę odliczyła i wstała od stołu. Poszła do drzwi, bo przez chwil kilka do głowy pomysł jej przyszedł, żeby do domu powrócić, bo znieść smrodu i głodu już nie mogła. Lniana koszula skórę jej drażniła, a Bożyna strach w niej budziła. Przemyślała i uznała, że może lepszy klasztor będzie albo zamążpójście nawet za starego Jaromira. Szarpnęła za klamkę i strwożona zamarła. Znów szarpnęła i pięściami walnęła we wrota, ale nie puściły. Wystraszona podeszła do małego okienka i spojrzała na świat, który zaczynał ogarniać już mrok. Pomacała po ramach, bo myślała, że jak u niej w rodzinnej kamienicy da się coś otworzyć, ale wszystko na stałe było zmontowane. Wróciła do drzwi i znów szarpnęła za skobel, za mechanizm zasuw, ale nic nie popuściło. „Ta jędzamnie tutaj zamknęła!” – pomyślała. Walnęła kilka razy we wrota, krzyknęła, aż dzieciaki pobudziła. Oblazły ją, za nogi złapały i płakać zaczęły jeden przez drugiego. Uznała, że głodne, więc po kufrach szukać zaczęła, ale nic poza białymi twardymi placzkami macowymi nie znalazła. Wyjęła dwa, trzasnęła o stół i po kawałku podała dzieciom. Sama też do ust włożyła, ale ugryźć nie mogła za nic, bo strasznie twarde jak z kamienia były. Dzieci je w ustach trzymały i bardzo intensywnie cmokały. „Chyba sposób na to” – pomyślała i jak dzieci do ust włożyła brzeżek. Pocmokała, więc kawałek się rozmoczył i mogła go odgryźć.

Przełknęła, skrzywiła się, bo smaku żadnego placek nie miał, ale głodna była. Siadła na Kacpra łóżku, a dzieciaki obok zaraz się wgramoliły. Wszyscy zajęci cmokaniem i przeżuwaniami, skuleni przy sobie może ze strachu, bo ciemno się w izbie już całkiem zrobiło, a może po prostu w kupie cieplej było.

Pojedli i zasnęli na ojca łóżku, więc ich Kordula po jednym wolno, bo całkiem po omacku przeniosła do drugiej izby. Sama chociaż na chwilę na dużym Kacpra łóżku się wyciągnęła. Nawet kawałek pierzyny naciągnęła sobie na nogi i kamieniem zasnęła.

Tak samo jak z rana obudziło ją szarpanie. Ciemno było w izbie, więc nie widziała, kto, ale po krokach zdawała sobie sprawę, że kilka osób ją trzymało. Szarpnęła się, kopnęła gdzieś w powietrze, wrzasnęła, ale poza piskiem dzieci nic do niej nie docierało. Jakieś nieznane silne ręce ścisnęły ją za nadgarstki, a inne za kostki. Ktoś inny wiązał jej coś na głowie, więc już wiedziała, że przynajmniej są trzy osoby i ona nie ma szansy walczyć w ciemności z nieznanym napastnikiem. Podała się na moment, ale zaraz wrzasnęła, usiłując wezwać pomocy.

– Drzyj sie, a drzyj – usłyszała gdzieś z boku, ale głosu nie kojarzyła. Potem poczuła na języku gorzki smak szmaty, jaką kneblowali jej usta i smród czegoś, w co zawijali ją niczym rulon materii, aż dostała zawrotów głowy. Nie wiedziała gdzie ziemia, gdzie sufit, tylko coś ją bardzo cisnęło w nadgarstki. Poruszyła dłonią i zdała sobie sprawę, że ostrym sznurem jest związana i każdy ruch kaleczy jej delikatną skórę. Niespodziewanie poczuła, jakby chcieli ją postawić do pionu, a w końcu ktoś ją uderzył w brzuch, aż jej się zrobiło niedobrze. Zdała sobie sprawę, że nieznana osoba przełożyła ją sobie przez ramię. Głowa jej dyndała zwieszona w dół i już sama nie wiedziała,

od czego jest jej niedobrze, czy od smrodu szmaty w ustach, czy uciskany rytmicznie brzuch powodował nudności. Usiłowała się poruszyć i wtedy zrozumiała, że gdzieś ją wynoszą w nieznaną świat. Szarpnęła się, podniosła głowę i uderzyła o coś twardego. W tym czasie wydawało się jej, że jakby z zaświatów usłyszała chrapliwy rechot i złośliwy tekst.

– Tera se porachujesz.

Była już pewna swojego losu. „Bożyna sprzedawała mnie Szwedom. I co teraz?”. Postanowiła nie ruszać się, bo najdrobniejsze szarpnięcie rznęło sznurem po jej nadgarstkach i kostkach. Spokojnie oddychała, więc nudności minęły, jedynie chłód, jaki wyczuwała na plecach, świadczył o tym, że idą gdzieś po dworze. Słyszała też plusk wody, następnie głucho stukanie butów po drewnianej podłodze, więc domyślała się, że właśnie wnoszą ją na statek. Liczyła, że zaraz postawią ją na nogi, że rozwiążą, zdejmą coś z głowy i zobaczy nabrzeże. Myślała, że wyjmą jej śmierdzący knebel z ust, ale poczuła tylko kilkakrotne uderzenie tu i tam o jakieś przedmioty czy ściany, jakby się przeciskali przez wąskie otwory. Potem było jeszcze trzaśnięcie pupą, barkiem i głową oraz zaduch nieznanomego pomieszczenia. Wydawało się Korduli, że na jakiś czas wszystko ucichło, zamarło i odleciało w niebyt, tylko głowa ją bolała i bolała. Bolał też bark, bolały plecy od leżenia na twardym, ale nawet nie wiedziała, gdzie się znajduje. Odrobinę podniosła związane nogi, z myślą, że na coś natrafi, ale nie poczuła żadnego oporu, więc poruszyła się na boki. Przekręciła na wznak i usiłowała podkurczyć nogi, ale rulon, w jaki cały czas była zawinięta, hamował wszelakie ruchy. Zdała sobie sprawę, że nic nie wskóra, więc znów zamarła w bezruchu, ale po jakimś czasie nie wytrzymała parcia na pęcherz i zsiłała się, a ciepły

mocz zmoczył jej całą pupę. Przekręciła się znów na bok i rozpłakała po cichu.

Nad głową słyszała kroki, a ona nie mogła się ani odezwać, zawołać ani nawet poruszyć. Nie wiedziała też jak długo leży, ale kiedy podłoga i cały ciemny świat wkoło niej zaczął się bujać, zrozumiała, że statek musiał odbić od nabrzeża. Ponownie lęk ją obleciał, bo była świadoma, że z każdą minutą oddala się od swojego miasta, domu, od ojca i cudownego świata, w jakim żyła, a jakim pogardziła. „Bóg mnie pokarał za chęci samobójcze, więc teraz cierp w pokorze” – pomyślała i zaczęła odmawiać zdrowaśki. Dziesiąta czy piętnasta, a może już setna, sama nie wiedziała, bo przysypiała i od nowa się modliła. Liczyła swoje oddechy najpierw dziesiątkami, potem do setki na każdy palec, wreszcie tysiącami palce odznaczała w myślach, a czarny nieprzenikniony i bujający się świat wkoło niej nie zmieniał się. Głód ją mldił, sikała pod siebie i popadała w beznadzieję. Wreszcie gdzieś jak przez mgłę zamajaczył jaśniejszy prostokąt z rozmytymi krawędziami, a w niej ciemne postacie. Mówili do niej, szarpali za worek na głowie za materię, w którą była zapakowana, i w końcu knebel wyleciał z jej ust. Jęknęła z bólu, ale odetchnęła wreszcie pełną piersią. Złapała miskę postawioną na podłodze i garściami, chociaż sznurek wrzynał się w skórę, pakowała do ust co gęściejsze z miski. Niespodziewanie żołądek się zbuntował i zwróciła wszystko prosto przed siebie. Część poleciała na podłogę, część na lnianą koszulę, a część trafiła do miski. Postać pilnująca ją coś niewyraźnie warknęła, odwróciła się i wyszła, zamykając jasny otwór, więc Kordulę znów ogarnęła ciemność nieprzenikniona. Nawet nie zdążyła obejrzeć pomieszczenia, w jakim się znajdowała, ale w pamięci została miska z jedzeniem.

Wiedziała, że jest tuż przed nią, więc ostrożnie namacała i, nie zważając na smrody, przytknęła miskę do ust i powoli, łyk po łyku wlewała zupę w siebie. Starła się oddychać między łykami, żeby nie oddać tej odrobiny strawy jaka została, a potem znów się położyła i tym razem liczyła przechył. Zasnęła, a może tylko drzemała, modliła się, liczyła, i cały czas to samo.

Jedyną zmianą była możliwość odczołgania się kawałek dalej, żeby nie załatwiać się pod siebie, a urozmaicheniem stało się jedzenie. Nawet nie wiedziała, czy raz dziennie, czy częściej ktoś wchodził przez coraz bardziej rażący światłem otwór, stawiał nową miskę, zabierał starą. Coś do niej mówił, ale chociaż doskonale знаła niemiecki, francuski i łacinę, absolutnie nic nie rozumiała. Dziwiła się też, że każdy kto wchodził do pomieszczenia, machał sobie dłonią przed twarzą, albo chusteczką zasłaniał usta, bo ona już nie czuła smrodu, w jakim ciągle leżała. Kilka razy próbowała się podnieść, usiąść, ale natychmiast się przewracała, albo uderzała o coś, więc poddała się i tylko zmieniała boki. Czasami wydawało jej się, że leży już w trumnie, która pływa po rzece, do jakiej chciała wskoczyć. Przestała się też modlić i myśleć, bo ciemność zablokowała jej nie tylko oczy, ale cały umysł pogrążyła w nicości.

Któregoś dnia poczuła potężne stuknięcie w zewnętrzną ścianę, więc wystraszona zaczęła się zastanawiać, czy statek nie zacznie nabierać wody i nie zatonie, a jej udręka się zakończy jak planowała, ale na dnie morza. Wody jednak nie było, ale też nie bujało już tak bardzo. Tylko delikatny plusk czasami do niej dobiegał między częstym tupaniem nad głową. Docierały do niej różne krzyki, nieartykułowane odgłosy, jakieś stukanie, suwanie, ale nie wiedziała, co się dzieje. Nie dostawała też jedzenia i znów ją skręcało z głodu. Wydawało się

Korduli, że cały świat o niej zapomniał, albo już całkiem trafiła do piekielnych wrót za swoje haniebne chęci, za brak posłuchu dla rodziciela. Ścisnęła dłonie, chociaż sznury wrzynały się boleśnie w nadgarstki i znów zaczęła się modlić.

ROZDZIAŁ 3.

Obudziły ją krzyki, tupanie nad głową i wreszcie pojawił się jasny, zamglony otwór. Kilka wiader zimnej wody spadło na jej ciało i wzmożony, bo rozmoczony smród uderzył w nozdrza. Znów ją szarpali, bo nie mogła stanąć na nogi po długim czasie leżenia. Ktoś ją przełożył sobie jak worek przez ramię i wyniósł na pokład. Wtedy padła skulona na deskach. Oczy przykryła dłońmi i krzyczała z bólu, bo ostre światło dosłownie rozrywało jej mózg. Wiła się i jęczała leżąc, a kolejne wiadra wody spadały na nią. Szczypały ją poobcierane nadgarstki oraz kostki i oczy mało nie pękały. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że ktoś zdarł z niej koszulę, że leżała całkiem goła, a wkoło niej stali mężczyźni. Nie widziała nic i nie słyszała śmiechów, bo ból i głód zagłuszał wszystko. Dopiero po kilku minutach ostry chłód przywrócił jej świadomość, ale nie mogła otworzyć oczu, bo światło cały czas mocno ją raziło. Usiłowała chociaż coś zobaczyć między palcami, ale oczy po długiej ciemności ostrym bólem protestowały.

Kiedy poczuła na ciele czyjś dotyk, zaczęła się oganiać jak od uprzykrzonej muchy, ale wtedy usłyszała ciepły głos kobiety i polskie słowa.

– Już dobrze, dobrze, jesteś bezpieczna. Boże, panienko, ale cię upodlili.

Szarpnęła się, ale już nie kopiała.

– Gdzie ja jestem, kim jesteś?

– Jestem Kristina. Kryśka, służka jaśnie pani Josefiny de la Gardie.

– W jakim kraju?

– Jesteś na szwedzkim galeonie naszego pana de la Gardie, ale zaraz cię umyjemy chociaż trochę, odziejemy i zabierzemy do karczmy, a potem na zamek. Nie otwieraj oczu, bo oślepniesz. To musi wziąć czasu.

Kordula poczuła, że ktoś rozcina sznury na jej rękach, więc roztarła ścierpnięte dłonie, sycząc z bólu za każdym razem, gdy dotknęła nadgarstków, po czym szybko się pomacała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest goła, że słyszy męskie głosy w pobliżu, więc przekręciła się na bok i skuliła. Zaraz na plecach poczuła delikatną szmatkę, mokrą i zimną, którą przecierali ją od szyi, do samych pośladków, gdzie też bolało odparzone ciało z ciemnymi plackami przyklejonych odchodów.

– Nie ruszaj się – wydała polecenie Kristina, więc Kordula posłusznie zamarła w bezruchu, ale za moment wrzasnęła. Poczuła, że jakaś dłoń wsunęła się między jej nogi i ostro wtargnęła w miejsce, które do tej pory służyło jej tylko do siusiania. Kopnęła w powietrze, wyprostowała się i przekręciła na plecach. Nie bardzo zdawała sobie sprawę, co z nią robiono, co sprawdzano, ale była świadoma, że strasznie bezwstydnie ją potraktowano.

– Już dobrze będzie, panienko – usłyszała i jednocześnie poczuła, że silne ręce podnoszą ją do pionu. Ktoś ją zawija w suchą materię, zawiązuje opaskę na oczach i bierze na ręce, a jej ciężka głowa prawie bezwładnie opadła do tyłu. Wreszcie poczuła się bezpiecznie, chociaż bardzo obawiała się, że już nigdy nie zobaczy świata. Nie zobaczy ludzkich twarzy, słońca i kolorów. Nie wiedziała, gdzie jest, gdzie ją niosą i co dalej będzie się z nią działo.

– Kristina – jęknęła cicho, ale zaraz usłyszała odpowiedź z tyłu za sobą.

– Jestem. Spokojnie, jestem za tobą, panienko.

Odetchnęła i poddała się, czekając na dalsze wydarzenia, chociaż nasłuchiwała i wahała powietrze, bo z ostrego morskiego, kiedy gdzieś ją posadzili, zapach zmienił się na całkiem inny, przypominający koński pot. Wstrząsy i kolebanie za pewien czas potwierdziły jej domysły, a Kristina jeszcze ją upewniła.

– Jedziemy do karczmy i tam muszę cię porządnie wykapać, ubrać.

– A później?

– Za kilka dni, jak nabierzesz sił, do zamku w Lund pojedziemy. Oczywiście w szwedzkim kraju.

Kordula przyjęła informację, ale nie komentowała, nie zastanawiała się, gdzie to jest. Po głowie cały czas chodziło jej pytanie, skąd jej opiekunka zna polski język? Nie pytała jej, ogólnie prawie nic nie mówiła, bo czuła się całkiem bezsilna. Podniosła głowę do pionu i wyszeptala jedynie, że jest głodna.

Jedzenie, a właściwie tylko kawałek chleba dostała dopiero po przybyciu do karczmy, jeszcze przed kąpielą, która też okazała się bolesna. Odmoczone rany na nadgarstkach i kostkach oraz odleżyny na pośladkach szczypały w zetknięciu z wodą i mydłem. Szczypała ją pupa i całe przyrodzenie między nogami, a także szczypały smarowane medykamentami i bandażowane miejsca po sznurach. Również szczypały oczy odsłonięte do mycia wieczorową porą. Za to podane jedzenie, chociaż w innych smakach, było zbyt słone, za kwaśne, ale z każdym kęsem rozbudzało jej apetyt. Macała na talerzu, co jej podali, wahała, wkładała do ust, krzywiła się, ale jadła coraz bardziej łapczywie. Najgorzej było w ubikacji, bo zaschnięte fekalia porobiły głębokie wżery i teraz kropla moczu paliła niemiłosiernie. Krzyczała i wstrzymywała się od z korzystania z nocnika,

a potem znów krzyczała, kiedy Kristina przemywała jej krocz. Nawet się nie wstydziła, bo ciągle nie widziała. W pokoju, w którym od kilku dni przebywała, nauczyła się poruszać bez otwierania oczu, ale przyszedł czas, że zdjęła jej opaskę i kazała otworzyć oczy. Bała się, ale lekko uchyliła powieki. Światło szczypało gdzieś aż w mózgu, więc natychmiast zacisnęła powieki i ostro pokręciła głową. Jednak już wydawało jej się, że otaczający ją świat stał się trochę jaśniejszy. Odczekała chwilę, przytrzymała Kristinę za rękę i jeszcze raz spróbowała. Tym razem okna były zasłonięte, więc pomieszczenie tonęło w błogim mroku i światło jej nie raziło. Zobaczyła wreszcie kontury Kristiny, ale obok stała męska, wysoka postać.

– Kto to jest? – zapytała i wskazała ręką.

– Nasz jaśnie pan, Jacoba de la Gardie młodszy.

– Jaśnie pan? – zastanowiła się. – Mam się kłaniać? – zapytała ironicznie.

– Nie trzeba – odpowiedział jej gruby, męski głos, a postać poruszyła się w jej stronę i Kordula zobaczyła, że mężczyzna mocno utyka na jedną nogę, wspierając się na masywnym, rzeźbionym kosturze.

– A kim ty jesteś, panienko, bo po ruchach, gestach i mowie sądząc, raczej z plebsu nie pochodzisz?

– Ale jak najgorszy plebs byłam traktowana. Gorzej niż zwierzę trzymana gdzieś głęboko, chyba na samym dnie statku – ostro odparła z wyraźną pretensją w głosie.

– Wybacz, proszę, nawet nie wiedziałem, że poza służką mojej zmarłej żony mamy na statku jeszcze inną kobietę.

Nie odezwała się, nie powiedziała nic o sobie, bo mężczyzna stanął tuż przed nią i dopiero mogła mu się przyjrzeć. Jego twarz w półmroku pokoju otulała nieznana, ceglastoszara mgła,

a jedno oko świeciło bielą, która jeszcze ją raziła. Nie widziała wyraźnie, ale w miejscu drugiego oka nie było świetlanej jasności, tylko czarna plama i coś czerwonego poniżej jakby dzieliło policzek na dwie części. Już następnego dnia ta dziwna w barwie mgła okazała się bujną, rudą czupryną z puklami loków opadającymi na szeroki, biały kołnierz przykrywający prawie całe ramiona. Pod kołnierzem był ciemny atlasowy surdut ze zdobieniami, ale takich detali jeszcze nie rozróżniała. Widziała tylko, że coś się świeci w niektórych miejscach garderoby. Opuściła głowę niżej i aż parsknęła, bo zobaczyła męskie, krzywe nogi odziane w obcisłe granatowe rajtuzy, a na stopach śmieszne botki z zadartymi czubkami. Nawet nie zwróciła uwagi, że jedna noga była wyraźnie wykrzywiona, grubsza, zabandażowana, tylko się śmiała.

W jej rodzinnym Elbingu mężczyźni nosili długie haftowane srebrem sukmany, a szlachta żupany. Na to płaszcze i żaden nie obnażyłby nóg w kobiecych rajtuzach. W końcu się opanowała, przeprosiła, dygnęła i zakryła dłońmi oczy. Po chwili jeszcze raz przeprosiła i popatrzyła na jego twarz w połowie tylko oświetloną przez nagle światło. Druga, tonąca w ciemności, ciemną rozpaczą zionęła i straszyla każdego, kto spojrzał, bo wojna szpetną ją strasznie zrobiła. Kordula chwilę milczała w zadumie, ale za moment powróciła w rozmowie do modnego stroju.

– Dziwna ta wasza moda. Przepraszam, a zimno nie jest szlachetnemu panu?

– Czasami – mężczyzna odparł spokojnie. Usiadł naprzeciwko, a chorą nogę odchylił na bok i wyprostował, ale głowy w jej kierunku nie odwracał. Nachylił się, skrzywił usta z bólu, ale za chwilę się wyprostował i zapytał. – Dowiem się, kim panna jesteś?

– Żebyś okup większy dostał?

– Nie wiem, czy będę żądał, może warto taką pannę jako brankę zatrzymać na służbie, bo już przyuczać nie trzeba.

– Nie będę niczyją służącą – obruszyła się.

– Tak myślałem, że panna nie robotna, bo za delikatna. Imię chociaż podaj, czy sam mam ci nowe nadać?

– Kordula jestem. Kordula z domu Johanna Paulsona.

– A... i już wszystko jasne. Z domu mincerza Johanna Paulsona, czyli panna z patrycjuszy. Kto cię porwał i na mój okręt wrzucił jak bagaż trefny?

– Skąd wiesz, kim mój ojciec?

– Wasze szelągi mieniałem na nasze. Ranny byłem, jeszcze w łóżu zalegałem, więc pana ojca twego na galeonie z obstawą przyjmowałem. Na kolacji został, ale słowem nie wspomniał, że córkę posiada. O żonie przyszłej wspominał.

– Dawno?

– Trzy niedziele temu.

Kordula się zamyśliła, bo nawet nie wiedziała, jaki dzień nastał, ile czasu minęło od chwili, kiedy stała na brzegu rzeki.

– Co ze mną zrobicie?

– Ja do Lund jadę, więc jako wojenna moja zdobycz wyjścia nie masz.

– Lund? Miasto u was, czy jakiś majątek?

– Miasto duże z uniwersytetem, większe niż twój Elbing. Dom tam ojca mego jest z pokoleń wielu. Zamek stary. Matka też piękna i wspaniała. Ręce załamie zapewne na mój widok, ale żony tam nawet dowieźć nie mogłem. – Wstał gwałtownie, jęknął z bólu i wyszedł z pomieszczenia, a Kristina zaraz wszystko jej wyjaśniła.

– Pan nasz żonę miał młodą i piękną, chociaż z niemieckiego domu. Ślub brali w Sztokholmie u króla Gustawa miłościwie

panującego. Nie chciał się z nią rozstawać, a na wojnę iść musiał. Kochali się bardzo, więc pani brzemienna w drodze została. Pod Zamościem dostaliśmy łupnia, uciekać trzeba było i się przydarzyło. Pani Hildegarda z bryczki upadła, jak się dowiedziała, że mąż mocno ranny został i już oczu nie otworzyła, ani dziecka nie wydała na świat. Pochowaliśmy ją w kaplicy jakiegoś kościoła, a pana żeśmy nieprzytomnego przez pół Polski wieźli. Po wsiach stawaliśmy, we dworach, gdzie się dało i gdzie nie gonili. Raz wasze chłopcy nogę panu w deski wsadzili i po trzech dniach o dziwo oczy otworzył, ale potem w gorączkę popadł. Nieprzytomnego my do Elbinga dowieźli i w szpitalu położyli. Tam twarz opatrzyli, buzie pozszywali. Jak wiadać Bóg mu życie darował, ale noga do niczego. Ucinać chcieli, ale jam nie dała, bo matce pana naszego obiecałam, że z mężem pospołu pieczę nad synem jej będę miała.

– A ty skąd się u Szweda znalazłaś?

– Miłość, pani, wielka do żołdaka mnie złapała.

– Do Szweda? – Kordula była wyraźnie zgorzozna.

– Tak, już na początku wojny. Ja w Gdańsku u patrycjuszki suknie szyłam. Dama wielka, ale kapryśna. Wszystko jej nie tak było. Hubertusa mego na targu sukiennym poznałam i trafiło nas za pierwszym westchnieniem. Spać nie mogłam, jeść nie mogłam, ale przecież go nie znałam. Wróg był jako żołnierz, więc zabronione było szukać takiego, a on na caluśki rok zniknął. Z wojskiem w Polskę poszli.

– I co dalej było?

– Znów na targu się spotkaliśmy tuż przed Zmartwychwstaniem. Ranny był po głowie, jak pan, na pół twarzy, ale serce tego nie widziało. Jakoś tak się akuratnie zeszło, że mnie pani po złości za drzwi wystawiła. Hubertus miłował, do ołtarza

zaprowadził i zabrał ze sobą, a pan też z niego bogaty, chociaż na służbie u de la Gardierów. Kiedy się wykurował, znów szli wojować do Polski i nie było wyjścia. Mój panu służył, ojczyżnie, a ja pani młodej, chociaż nie upilnowałam. Nie upilnowałam też męża, więc sama jestem jak palec Boży.

– I co teraz, do Polski, do ojców nie powrócisz?

– Ojców dawno nie mam, a służba jednaka na pańskich dworach. Suknie każdy nosi, a bogatszy lepiej płaci, więc ze Szwedem do szwedzkiego domu pojadę.

– A co ze mną zrobią?

– Tego to ja, panienko, wiedzieć nie mogę. Nawet nie wiadomo, kto cię kupił i na statek wrzucił. Pewno chłopcy po pijaku na odjezdne w karczmie były, ale na szczęście nikt cię nie pohańbił. Rany się wyleczą, a żyć można wszędzie, skoro Boga wola taka.

– Mówiłaś, że pan, jak mu tam na imię?

– Jacoba de la Gardie młodszy.

– Czyli Jakub po naszymu?

– Tak, ale mówić trzeba jaśnie pan Jacoba. Szczególnie przy pani matce jego.

Kordula się uśmiechnęła, westchnęła i wróciła myślami do domu ojca swego. „Ciekawe, czy mnie szukają? Czy Piotra puścili, a może oni myślą, że ja z nim uciekłam?” – westchnęła. „Niemożliwe, bo on przecież w więzieniu za kratami siedzi. Oj, biedny mój, biedny”. – Ocknęła się z zamyślenia, popatrzyła na Krystynę, uśmiechnęła się i zapytała.

– Odeśł mnie do ojca? Może za okupem, ale myślę, że odeśł.

– Wojna z naszym krajem, więc jak ojciec okupu dużego nie dadzą, będziesz jak zwykła służka albo jeszcze niżej.

– Niżej, to znaczy co się ze mną stanie?

– Nie wiem. Może w pole każą chodzić albo w kuchni. Nic robić panienka nie umie, to świnię każą pasać.

– Chyba zwariowałaś – Kordula się obruszyła. Chyba po raz pierwszy obudziła się w niej godność panny z domu patrycjusza. – Ja szkolona jestem w piśmie i w językach. Astronomię znam, rachować potrafię i księgi prowadzić.

– Więc może na bonę albo nauczycielkę cię wezmą, tylko dzieci na zamku nie ma – roześmiała się Krystyna.

– To co ze mną zrobią? – Kordula zaczęła się bać.

– Ja tam wolna i nieprzymuszona do niczego jestem. Fach mam dobry. Iglę umiem trzymać i ścięgi proste robię, więc wszędzie mnie cenią. Ty jak towar zakupiona byłaś. Zrobią państwo z tobą, co im się zamarzy. Na razie pan na zamek nakazał cię zawieść i matce przedstawić.

– A to insza inszość.

– Jako zdobycz z wojny – podkreśliła Krystyna.

Kordula wystraszona przeszła wolno kilka kroków po izbie i ostrożnie usiadła, bo ją ciągle odparzona pupa bolała.

– Krystyno, ja też igłę umiem trzymać i hafty piękne robię od dziecka. Powiedz, pani miła moja, że ja twoja szwaczka niezbędna. Że teraz hafty ważne i koniecznie mnie w swoim warsztacie mieć musisz.

– To ci wierzę. Wszystkie panny haftem ręce dla zabawy zajmują, ale nie wydolisz dla chleba cały dzień.

– Więc co ze mną będzie?

– Panią zapytasz, a na teraz korzystaj ze spokoju i siedzenie swoje kuruj, bo za dwa, trzy dni w drogę ruszamy. Pan nasz Jacoba nakazał.

W tym momencie drzwi skrzypnęły i do pokoju wszedł pan Jacoba, a Krystyna dygnęła przed nim. Jacoba zrobił kilka

kroków, utykając, i usiadł na krześle w ciemnym rogu pokoju. Kordula dopiero zdała sobie sprawę, że jeńcem wojennym się stała, że pan i obecny właściciel może ją do łóża zabrać niczym Tatarzyn brankę swoją, albo do chlewa wydalić.

– Mościa panno – Jacoba odezwał się łamaną, bełkotliwą polszczyzną. – Tak was w Polsce tytułują, czy coś jeszcze dodać trzeba do nazwiska twego z racji ojca rodu?

Kordula zaskoczona dygnęła przed siedzącym panem, a potem z rozdziawioną buzią odwróciła się do Krystyny.

– Pan po naszymu mówić potrafi?

– Wiele lat na waszej ziemi z panami, dziewczkami i służbą bywałem, więc nauczyć się jam musiał – odparł Jacoba.

Krystyna chyba sama zaskoczona wieściami zamknęła buzię i zajęła się przekładaniem odzienia w kufrach podróżnych, ale co chwilę patrzyła na swojego pana, na Kordulę, która przeszła bliżej okna i wyglądała na zewnątrz mrużąc jeszcze oczy. Po chwili się odwróciła, podeszła do swojego pana i dumnie podnosząc głowę, zapytała:

– Jako branka twa, panie, mam służyć, czy z Krystyną koszułe dziergać?

Przez chwilę w komnacie cisza zapanowała, że tylko słychać było jak Korduli serce się łomocze ze strachu, chociaż głowy nie spuściła. Jacoba popatrzył na jej twarz, potem wstał, a Kordula odruchowo cofnęła się dwa kroki, ale dalej stała i patrzyła dumnie na niego.

– Siłą brać żadnej kobiety ani dziewczki, ani damy nigdy nie musiałem, ale skoro w niewoli się znalazłaś, chociaż nie z mojej przyczyny, branką moją jednak będziesz.

Kordula z oburzenia powietrza głęboko nabrała i już chciała ostro zaoponować, kiedy Jacoba palec do ust przyłożył, nakazując

milczenie. Podeszedł jeszcze bliżej, odwrócił twarz w jej kierunku i złapała ją za ramiona.

– Widzisz mnie? Widzisz dokładnie?

Wystraszona potaknęła tylko głową, bo ze strachu słowa wydusić z siebie nie mogła.

– Szpetny jestem okropnie! – krzyknął i potrząsnął Kordulą.

Znów potaknęła wystraszona i spuściła wreszcie głowę.

– Żadna miłować z wolnej woli swojej mnie nie będzie. Wiem, żeś dziewczica czysta, więc będziesz kobietą moją jako łup wojenny i sprzeciwu słuchać nie będę. Krzywdy nie zaznasz, ale sprzeciwu nie znoszę. Jeny do zdrowia oboje dojdziemy, więc teraz czas masz swobodny.

– Ale... – Kordula jęknęła, wyrwała się i wybiegła z komnaty. Na moment stanęła za drzwiami, popatrzyła po ciemnym, wąskim korytarzu, a potem pobiegła w jedną stronę, gdzie głośy słyhać było. Zbiegła schodami na dół do rozległej sali, która była centralnym miejscem karczmy. Tam sporo ludzi różnych stanów, co po odzieniu można było wywnioskować, siedziało za stołami. Część jadła, niektórzy trącali się drewnianymi kuflami, inni stukali łyżkami o gliniane talerze, nabierając brunatnego jadła. Jakiś grubas chodził między nimi i kufle napełniał czerwonym płynem. Ludzie przeważnie twarze mieli szkaradne, brudne i szczerbate gęby w krzywym uśmiechu do niej szczerzyli. Posklejane włosy poprawiali, a niektórzy rękawem kaftana usta przecierali ze zdziwienia na widok pięknej i czystej niewiasty. Kilku wstało i głośny wiwat wzniesli na jej widok, więc Kordula przerażona stanęła w miejscu na ostatnim stopniu krzywych, wytartych schodów. Przytrzymała się poręczy i w myślach szybkie rozważania zrobiła, bo mężczyźni wydali się rozjuszonymi wrogami żadnymi jej ciała, jej czci.

Uszu Korduli dobiegł groźny bełkot, rozległ się też stukot przewracanych krzeseł, bo kolejnych kilku napitych mężczyzn jakby ruszyło w jej stronę, więc Kordula zawróciła na piętro, ale nie pobiegła do zajmowanej wcześniej komnaty. W ciemnym, wąskim korytarzu przykleiła się do ściany i nasłuchiwała odgłosów z karczmy. Nic się nie działo, nikt się nie zbliżał, więc przykucnęła, głowę schowała między ramiona i ciężko oddychała. „Nie chciałam tatkowego jaśnie narzeczonego, więc teraz znie-nawidzony naród brać mnie będzie?” – pomyślała i jęknęła. „Co za różnica, czy żołdak, chłop od chlewa, czy pan w rajtkach z parszywą buzią, rudy jak futra z leśnego zwierza?” – wstrząsnęła się z niechęci, podniosła głowę i popatrzyła w głąb ciemnego korytarza, bo drzwi któreś skrzypnęły i nieznane kroki szybko się do niej zbliżyły.

– Nie masz co uciekać – usłyszała głos Krystyny. – Męski motłoch rozszarpie cię, jak tylko krok z karczmy zrobisz, a pan nasz łagodny, choć słyszałaś, stanowczy.

– I szkaradny – warknęła i powoli podniosła się z kucek.

– Wojna, panienko, ludzi tak naznacza.

– Ale on wróg mój i ojczyzny.

– Ojczyzny? A jakiej? Gdzie ją masz i którą? Pruską, szwedzką, czy Mazurów? Naród pomieszany, rozgrabiony, a ty sama lepiej po francusku i niemiecku gadasz niżli w ojca polskiej mowie.

– On Szwed, ciemieżca, zaborca i szabrownik.

– Pan twój i ciesz się, że w pałacu będziesz, a nie w chlewie przy świniach albo w kuchni, a może i w jakiej karczmie za dziewczkę cię odda, jak powolna nie będziesz. Ja przy tobie przynajmniej bezpiecznie zostanę. Suknie ci takie poszyję, że nikt oka z ciebie nie spuści.

– Ale do łożnicy mam iść! – warknęła Kordula.

– A co w tym złego, raczej przyjemne zajęcie. Mnie tam ciągle było mało z mężem, a pani Hildegarda zawsze radość miała taką w sobie po nocce z mężem, że i ty narzekać pewnikiem nie będziesz.

– Hildegarda żoną była, a ja mam niczym sprośna grzesznica łoże panu ścielić.

– Ścielić? – Krystyna parsknęła śmiechem, machnęła ręką i pociągnęła Kordulę w głąb korytarza. – Ja pościelę, nagrzeję termoforem, a reszta już w panienki staraniach.

Stały przed drzwiami i Krystyna poważną minę zrobiła.

– Jak panienka się dobrze sprawi, a jaśnie pani matka zgodę da, może i Pan Bóg pobłogosławi, bo żeś z zacnego gniazda rodowego.

– Najpierw Bóg zgodę dać musi – Kordula nogą tupnęła.

– U tatki tak zapewne być miało, ale panna w niewoli u pana, więc się staraj, żebyś w inne łapy nie trafiła za bunt i nieposłuch. Teraz idź, pokłoń się panu, bo obie źle trafimy za fochy twoje, panienko.

– Ale gęba szpetna, jak mam patrzeć na niego?

– Aleś ty panienko z rozumem chyba spowolniona. Patrzeć nie musisz, oczy zamkniesz i najwyżej ze dwie zdrowaśki w myślach odklepiesz, skoro aż tak bogobojna z wychowania jesteś.

Koniec wersji demonstracyjnej

SPIS TREŚCI

Rozdział 1.	5	Rozdział 19.	167
Rozdział 2.	15	Rozdział 20.	177
Rozdział 3.	29	Rozdział 21.	187
Rozdział 4.	42	Rozdział 22.	193
Rozdział 5.	51	Rozdział 23.	205
Rozdział 6.	60	Rozdział 24.	218
Rozdział 7.	66	Rozdział 25.	223
Rozdział 8.	76	Rozdział 26.	231
Rozdział 9.	83	Rozdział 27.	242
Rozdział 10.	90	Rozdział 28.	253
Rozdział 11.	98	Rozdział 29.	263
Rozdział 12.	107	Rozdział 30.	273
Rozdział 13.	119	Rozdział 31.	285
Rozdział 14.	125	Rozdział 32.	300
Rozdział 15.	136	Rozdział 33.	308
Rozdział 16.	148	Rozdział 34.	323
Rozdział 17.	152	Rozdział 35.	334
Rozdział 18.	158	Rozdział 36.	347